

Z Tekstów na nic**Przełożył Antoni Libera****XIII**

Ten stary słaby głos, który nie zdołał mnie stworzyć, wciąż słabnie, oddala się, mówiąc tym, że odchodzi, popróbować gdzie indziej, lub cichnie, nie wiadomo, mówiąc tym, że zamiera, że już próbować nie będzie. Był tylko on, powiada, tylko on w moim życiu, jeżeli mówiąc o mnie, można mówić o życiu, a on może, wciąż może, bo jeżeli nie może, to od razu zamiera, bo jeśli tylko o tym, bo jeśli tylko o tamtym, to od razu zamiera, bo jeśli mówi o mnie, to od razu zamiera, lecz jeśli może więcej, to przecież może i mniej, bo jeśli może o mnie, to może o czymkolwiek, aż do pewnego punktu, do chwili, gdy zamiera, kiedy nie może już, nie może już mówić o mnie, tutaj, gdzie indziej, jak mówi, a właściwie jak szepcze. Kto, to nie jest osoba, tutaj nikogo nie ma, to tylko głos, bez ust, i słuch, coś musi go słyszeć, i jeszcze jakąś ręka, on to nazywa ręką, chce stworzyć jakąś rękę, a w każdym razie coś, co może zostawić ślad, po tym, co dzieje się i co jest powiedziane, doprawdy, minimum, a jednak nie, to opowieść, to w dalszym ciągu opowieść, a jest jedynie głos, ślad tylko szepc zostawia. Ślad, chce zostawić ślad, tak, jak powietrze wśród liści, pośród drzew, pośród piasku, tak właśnie chce stworzyć życie, ale to już się kończy i życia już nie będzie, jakby go nigdy nie było, będzie cisza, powietrze, nim zastygnie na zawsze, drzeń będzie jeszcze chwilę, tyle co pył opada. Powietrze, drobina pyłu, ale tu nie ma powietrza ani żadnego pyłu, a mówić o chwilach, chwilkach, to tyle, co mówić o niczym, lecz cóż, to właśnie słowa, którymi się postępuje, których zawsze używał i dalej będzie używał, o rzeczach nieistniejących lub istniejących gdzie indziej, jeśli już tak to zwać. Nie o gdzie indziej jednak, ale o tutaj chodzi, o, teraz dotknął sedna, teraz znowu go dotknął, trzeba było stąd wyjść i znaleźć się gdzie indziej, gdzie mija czas i atomy łączą się na chwileczkę, i skąd on sam, ów głos, prawdopodobnie dochodzi, skąd mówi od czasu do czasu, że pewnie stamtąd dochodzi, by mówić o takich złudach. Tak, wyjść stąd, ale jak, skoro to puste jest, nie ma tu ani pyłu, ani żadnego tchnienia, prócz tchnienia samego głosu, lecz dyszy on daremnie, niczego tym nie stworzy. Gdybym tam był, gdyby potrafił mnie stworzyć, bardzo bym go żałował, że tyle gadał daremnie, nie, nie byłoby tak, bo jeśli bym tam był, to by nie gadał daremnie, a gdyby był mnie stworzył, to nie żałowałbym go, tylko bym go przeklinał albo i błogostawił, on by moimi ustami przeklinał lub błogostawił, kogo, co, nie wiadomo, nie umiałby powiedzieć, moimi ustami niewiele umiałby już powiedzieć, choć tyle gadał daremnie. Ale ten żal, ta litość wisi jednak w powietrzu, choć powietrza tu nie ma, ale co to za wyraz, nie trzeba by tu przerwać i spytać, skąd się wziął, pyta samego siebie,

i czy to nie nadzieja, o, znowu, inny wyraz, rozbłyskuje złośliwie pośród złudnych popiołów, płomyk nadziei małego, lecz mimo wszystko stworzenia, rodzaju ludzkiego, ła w oku, dopóki widzi, nie, nie trzeba, już nie, nie trzeba już przerywać i pytać o cokolwiek, nic nie powinno przerywać jego upadku lub wlotu, bo może skończy wysoko, przerażliwym skowytom. To prawda, niezbyt często nawiązywał do serca, dosłownie i w przenośni, ale to jeszcze nie powód, aby żywić nadzieję, na co, że się tak stanie, że wzleci skonać w górę, widowiskowo, szkoda. Lecz na co jeszcze czeka, skoro już klamka zapadła, skoro już nie ma wyboru, aby zamknął nareszcie tę swoją martwą gębę, o, jeszcze jeden zwrot, aby połączył może te wszystkie swoje brednie w jakąś zwartą kadencję, wartą tyle, co reszta? Ostatnie odwieczne pytania, przedśmiertne dziecinne gesty, jakieś ostatnie obrazy, kres rojeń, tego, co będzie, tego, co miją, co było, ostateczny kres kłamstwu. Czy to możliwe, czy to w końcu możliwe, by zgąsto to czarne nic w niemożliwych ciemnościach, by dokonało się wreszcie, co się dokonać nie może, i zamilkła ta cisza, pyta samego siebie, ten głos, który jest ciszą, czy też ja, nie wiadomo, to ja złożone z dwóch liter, które jest takim samym urojeniem czy ciszą, ja i on, on i ona, ja i ona, i wszystkie, te wszystkie nasze, ich, te wszystkie ich, lecz czyje, kto roi sam siebie czy milczy, stare ostatnie pytania, tych nas, którzy jesteśmy urojeniem i ciszą, ale to już skończone, już po nas, koniec z nami, choć nigdy nas nie było, nie będzie już niczego, gdzie niczego nie było, i ostatnie obrazy. I kto się wstydzi każdej najmniejszej niemej sylaby, i kto ma nieustannie coraz bardziej gryzące, nieodparte wyrzuty, że musi jednak słuchać, że musi jednak mówić, choćby ciszej niż szeptem, te niekończące się kłamstwa, w kółko te same kłamstwa i kłamliwe przeczenia, których wyjąca cisza jest nożem nie w ranie tak, pyta samego siebie. I pyta, co się stało z pragnieniem, by coś wiedzieć, nie ma go, nie ma serca, nie ma głowy, nikogo, kto czuje, pyta i szuka, i mówi, i słucha, cisza. Nie, to nieprawda, tak, prawda, to prawda i nieprawda, to cisza i nie cisza, nikogo nie ma, ktoś jest, nic niczego nie znosi. I gdyby ten stary głos, ten stary słabnący głos zamilkł w końcu na amen, to nie byłoby prawdą, bo nie jest prawdą, że mówi, a jeżeli nie mówi, to i nie może zamilknąć. I gdyby któregoś dnia, tutaj, gdzie nie ma dni, co w ogóle nie jest miejscem, ów niemożliwy głos powołał do życia stworzenie, którego nie da się stworzyć, i jakiś promień światła, to wszystko byłoby dalej ciche, puste i ciemne, jak teraz, jak już zaraz, gdy wszystko będzie skończone i wszystko powiedziane, jak mówi, a raczej szepcze.

1950